

Czy małe dzieci kochają naukę?

22 czerwca 2018

Źle się dzieje w państwie duńskim, hamletyzować jednak nie warto, bo to nic nie daje. Z wielu krajów od dłuższego czasu docierają odgłosy, że nauczyciele masowo uciekają z państwowych szkół. Dziwaczne reformy, zmuszanie do indoktrynowania dzieci, zanikająca autonomia, dramat z dyscypliną i terror, a czasem wręcz bandytyzm, ze strony najbardziej rozwydrzonych uczniów.

Kiedy dzieciom pozwala się na rozwijanie ich naturalnej kreatywności i kiedy szkoła zaspakaja ich niesłychaną ciekawość, dzieci uwielbiają się uczyć. Piękny banał, gorzej, kiedy trzeba tę mądrość przerobić na centralny filar systemu oświaty.

„Kiedy przychodzą do szkoły, mają zdławić swoje instynkty siedzieć grzecznie w ławkach i akceptować wpchanie na siłę nudnych faktów oraz całe lata nieustannych testów. W niedalekiej przyszłości szukający pracy będą musieli być tak różni od maszyn jak to tylko możliwe, kreatywni, krytyczni, uspołecznieni. Czemu zatem dziś uczy się dzieci, żeby zachowywały się jak maszyny” – pyta amerykański dziennikarz zajmujący się sprawami oświaty, powtarzając pytanie, które zadawało już setki innych.

W Ameryce spory między lewicą i prawicą przekroczyły Rubikon i zagrażają demokracji. W jednej sprawie skłócone strony wydają się zgadzać, oczekuje się, że szkoła nie będzie lekceważyć żadnego dziecka, że każdemu dziecku da tak wiele, jak to tylko możliwe. Dawniej godzono się z faktem, że inteligencja i zdolności są zróżnicowane, oczekiwano również intensywniejszej pracy ze strony rodziców, zakładając, że nauczyciel ma ograniczone możliwości, jeśli dom nie wspiera motywacji

dziecka do nauki. Dziś takie poglądy w większości krajów zachodnich są uważane za naganne, a nauczyciel, który je głosi, może mieć kłopoty.

Kiedy dwóch mówi to samo, to nie zawsze znaczy to samo, pogląd, że szkoła nie może zgubić żadnego dziecka, bywa różnie interpretowany, podczas gdy jedni pragną, by szkoła produkowała twórczych członków parafii, inni chcą by ze szkoły wychodzili raczej kreatywni czytelnicy szacownej coraz bardziej bulwarowej prasy. (Jedni i drudzy wydają się mieć dość lekceważący stosunek do wciągania dzieci w zainteresowanie prawdziwą nauką.) Złośliwi powiadają, że wspólnym wysiłkiem udało się wykształcić pokolenie memozjadów i przekształcić Ivy League w środowisko, w którym studenci przedkładają wiecowanie nad chodzenie na wykłady.

Do niedawna niemal wszędzie widzieliśmy powtarzane bez końca opowieści, że japońskie, chińskie lub koreańskie szkoły nie uczą kreatywności, że nie prowadzą do innowacyjności, że zabijają w uczniach ich indywidualność, zmuszając do morderczej konkurencji. Być może pora na krytyczne spojrzenie na te miłe dla ucha stereotypy, pozwalające westchnąć z ulgą, górą nasi. W przeprowadzonych w 2005 roku dużych badaniach (Bybee and Kennedy 2005), okazało się, że kraje azjatyckie (Singapur, Korea Południowa, Hong Kong, Taiwan i Japonia) mają najlepsze osiągnięcia w kształceniu dzieci (badano populacje uczniów klas czwartych i ósmych).

Skąd ten sukces? Zakorzenione w kulturze przekonanie, że inteligencję można wzmocnić dzięki motywacji i ciężkiej pracy. Na tym polu azjatycka współpraca domu i szkoły wykracza daleko poza nasze wyobrażenia. Co więcej, drugim filarem filozofii azjatyckiej pedagogiki jest twierdzenie, że dziecko nie mające podstaw racjonalizmu, nawet przy wysokim IQ będzie ustawicznie padało ofiarą błędów logicznych. Konieczny jest wczesny trening w krytycznym myśleniu, a tu najlepsze jest uczenie dzieci metody naukowej i jeśli chcemy, żeby to działało, trzeba to robić przez połączenie zabawy z rozwiązywaniem

problemów.

Na jakim poziomie poważna nauka może wkraczać do szkoły? Okazuje się, że na poziomie przedszkola, ale o tym potem.

Trzeci filar jest intrygujący – wczesne nauczanie jest ważniejsze od wszystkich późniejszych i tu obowiązuje zasada, że absolutnie najlepsi nauczyciele potrzebni są na etapie przedszkolnym i w pierwszych klasach. Jeśli dziecko nie nauczy się krytycznego myślenia na tym etapie, nauczyciele na kolejnych etapach są skazani na naprawianie szkód wyrządzonych podczas wczesnego nauczania, a ich szanse na sukces w tym zbożnym dziele są bardzo ograniczone.

To wszystko wydaje się jeśli nie całkiem, to częściowo sprzeczne z kierunkiem reform systemów oświaty w krajach zachodnich. W efekcie nie tylko sfrustrowani reformami systemu oświatowego nauczyciele uciekają od swojego zawodu, również rodzice myślący o przyszłości swoich dzieci, jeśli tylko mogą, zabierają swoje dzieci do prywatnych szkół, bądź decydują się na samodzielne nauczanie swoich dzieci w domu (homeschooling, czyli edukacja domowa, na którą w niektórych krajach władze zaczęły wyrażać zgodę).

Obowiązkowa nauka przedszkolna natrafia na zdecydowany opór rodziców. Widzieliśmy to nie tylko w Polsce, ale wcześniej w Stanach Zjednoczonych, kiedy w 2006 roku władze Kalifornii postanowiły wprowadzić obowiązkową naukę przedszkolną. Mieszkańcy protestowali przeciwko korzystaniu z pieniędzy podatników na takie fanaberie. Wcześniejsze badania wskazywały, że dzieci objęte tym programem lepiej funkcjonują w szkole i mają wyższe IQ. Krytycy twierdzili, że te różnice potem zanikną, przekonywali, że w pilotażowych programach brały głównie udział dzieci z rodzin, w których rodzice mają lepsze wykształcenie i wyższe dochody, a wreszcie (przebojowy argument prawicy), że lepiej, żeby matki zostawały w domach i uczyły dzieci same).

Przywoływano tu również argumenty, że nie wolno marnować beztroskiego dzieciństwa, że dzieci powinny dużo przebywać z rówieśnikami, przywoływano argumenty niektórych pedagogów, iż dzieci nie powinny być nadmiernie obciążane. (W Polsce rodzice dość zasadnie argumentowali, że nic nie jest na taką masową akcję przygotowane.)

Faktycznie, to nie tylko chodzi o to, żeby dzieci wcześniej zaczynały się uczyć, ale o to jak to jest robione. Czy można wciągać dzieci w naukę tworząc im jednocześnie szalone możliwości zabawy?

Najbardziej zwariowane przedszkole o jakim czytałem to przedszkole w Fuji, gdzie dzieci robią co chcą, idą gdzie chcą i uczą się czego chcą.

Nie wydaje się, aby był to model nadający się do zastosowania na masową skalę, ale z pewnością jest to fascynujące laboratorium pozwalające na obserwację tego rodzaju eksperymentów.

„Asian Scientist” przekonuje, że dzieciaki są jak naukowcy, wszystko je interesuje, wszystko chcą sprawdzić. Nauka i technika otwiera przed nimi świat cudów i wprawia je w zachwyt, kiedy zaczynają rozumieć jak to, czy tamto działa. Science for kids to dziedzina pedagogiki, która szybko się rozwija, interaktywne muzea, szkoły, przedszkola, wędrowne zespoły, pokazujące dzieciakom niezwykły świat nauki. Robią to głównie pasjonaci i jest ich coraz więcej. Myśl, że mogło by się to odbywać w reżyserii państwa raczej przeraża. Angażowanie w to postaci takich jak pani Zalewska, czy min. Gowin pachnie kryminałem. Pytanie czy małe dzieci kochają naukę jest zwyczajnie absurdalne. Pokaż dziecku jak się robi cuda, a będzie pisać z radości.

Czasu jest mało, chwilowo coraz częściej słyszę jak doskonali nauczyciele mówią, że mają dość. Czy można coś w tej kwestii zrobić? Nie wiem, liczę na oświatową spółdzielczość młodych

rodziców.

Autorstwo: Andrzej Koraszewski

Źródło: StudioOpinii.pl